



Kryminał z myszką

38

**Biały  
płaszcz  
w brązową  
kratę**

**Kazimierz  
Korkozowicz**

Kazimierz Korkozowicz

## BIAŁY PŁASZCZ W BRĄZOWĄ KRATĘ

Kryminał z myszką – Tom 38

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-23-2

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: KAW, Warszawa 1975

Poprzez senne zamroczenie, kiedy to świadomość jeszcze nie osiągnęła pełnej sprawności, ale już na progu władzy nad zmysłami, doszedł Parzystego cichy szept:

– Karolu... No, Karolu...

Szept ten rozwał resztki zamroczenia, przekora kazała mu jednak udawać, że nadal pogrążony jest we śnie, a natarcywość wezwania wzmogła tę przekorę. Leżał więc dalej na boku, z ramieniem podłożonym pod głowę i oddychał głęboko, nie otwierając oczu.

Dziewczyna lekko trąciła go w ramię i powtórzyła:

– Karolu... No, Karolu...

Po chwili zorientował się, że leży w łóżku sam. Następnie usłyszał stuk zdejmowanej z widełek słuchawki i cichy szmer obracanej tarczy. Odgłosy te początkową, żartobliwą przekorę zamieniły w świadome postanowienie zachowania pozorów głębokiego snu.

Lekko, nieznacznie rozwarł powieki. W pokoju panował srebrzysty półmrok, gdyż światło latarni ulicznej przedzierało się przez zaciągniętą zasłonę, znacząc kontury mebli i dziewczyny, nachylonej nad aparatem. Światła tego wystarczyło, by mogła odczytać cyfry na tarczy.

Usłyszał strzępy słów.

– ...u koleżanki...na Ochocie... Wróciłyśmy właśnie z miasta...

– ...

– ...daj spokój, gadasz głupstwa...

– ...

– ... tak... rozumiem... – potem z pewnym zniecierpliwieniem – tak, słyszałam, pod dwudziestym szóstym... ale gdzie jest ta Gradowa?

– ...

– ...dobrze, będę...

Ledwie dosłyszalnie stuknęła ostrożnie odłożona słuchawka. Dziewczyna wsunęła się pod kołdrę i objęła ramieniem szyję Karola, przyciągając go ku sobie. Teraz mógł już zaniechać udawania, gdyż zaistniała przyczyna przebudzenia.

Wkrótce potem zasnął naprawdę, mocno i bez snów.

Kiedy obudził się, stwierdził, że jest sam. Sięgnął po zegarek. Była już ósma. Zerwał się z pościeli i wtedy zauważył na stoliku kartkę papieru z pośpiesznie nakreślonymi słowami: „Dzień dobry – Anka”.

Alarm wszczęła sprzątaczką, kiedy po przybyciu do pracy znalazła w ubikacji, przeznaczonej częściowo do przechowywania jej sprzętu, skrepowanego strażnika.

Jak następnie stwierdzono, gorszy los spotkał drugiego, któremu został powierzony bezpośredni nadzór nad pokojem kasy. Leżał tuż za drzwiami z głęboką raną w plecach, w kałuży krwi.

W pokoju nic nie wskazywało, że odbyła się w nim walka, poza jednym przewróconym krzesłem. Przedmioty znajdujące się na obydwóch biurkach – jedno należało do kasjera, drugie do jego zastępcy – leżały na swoich miejscach. Jedyne okno, zabezpieczone solidną kratą, było zaciągnięte zasłoną, a sama kratka nienaruszona. Drzwi pancерnej kasy, również nie uszkodzone, były uchylone, a cała znajdująca się w niej gotówka – zniknęła.

Dochodzenie objął major Wydma z Komendy Głównej MO. Był to jak na swoją rangę stosunkowo młody, bo trzydziestokilkuletni mężczyzna o suchych, ostrych rysach twarzy i gładko zaczesanych, ciemnych włosach. Używał munduru tylko w koniecznych wypadkach. Wolał ubrania cywilne, których doskonały krój nadawał jego sylwetce frapujący – zwłaszcza płeć piękną – wygląd.

Po usunięciu przybywających do biura i wstrząśniętych morderstwem oraz kradzieżą pracowników, ekipa dochodzeniowa pod kierunkiem porucznika Gersona rozpoczęła pracę, a major, już zorientowany w sytuacji, udał się do dyrekcji zakładów.

– Pan dyrektor przyjechał i czeka na pana majora – przywitała go miedzianowłosa sekretarka. W jej głosie drgało podniecenie, ale słowom towarzyszył uśmiech i zalotne spojrzenie.

Dyrektor Łempicki był otyłym mężczyzną o dużej, prawie łysej głowie. Na widok wchodzącego zdjął grube, czarne okulary i odłożywszy je, uniósł się zza biurka.

Po krótkiej prezentacji wskazał fotele, stojące w rogu gabinetu.

– Jaką sumę zrabowano? – zagaił Wydma, zajmując wskazane miejsce.

Łempicki zagłębił się w swój fotel i gestem pełnym zafrasowania przesunął dłonią po szerokiej łysinie.

– Dwa miliony osiemset tysięcy i coś tam jeszcze...

Wydma cicho gwizdnął.

– Jak to się stało, że tak duża gotówka została na noc w kasie?

– Pieniądze były przeznaczone na wypłatę. Przypadła ona na wczorajszy dzień, ale musieliśmy ją odłożyć na dzisiaj...

– Dlaczego odłożyliście wypłatę?

– Współpracownik kasjera przyszedł do biura z zapaleniem okostnej i musiał usuwać ząb. Według relacji głównego księgowego, który udzielił mu zwolnienia, miał wyraźny obrzęk na twarzy. Z kolei kasjer nie chciał się zgodzić na pomoc doraźną i wystąpił z wnioskiem o przesunięcie wypłaty na dziś, na co zgodziłem się po porozumieniu z radą zakładową.

– Kasjer nie mógł sam dokonać wypłaty?

– Nasze zakłady mają około dwóch tysięcy pracowników i dużo oddziałów. Jak pan już wie, wchodziła w grę duża suma, on jest odpowiedzialny za wypłatę, nie mogłem więc mu tego nakazać.

Wydma spojrzął w okno, za którym widać było dachy fabrycznych hal, po czym przeniósł wzrok na swego rozmówcę.

– Jak się nazywa kasjer?

– Roman Bielecki.

– A zastępca?

– Jan Urbaniak.

– Co pan może o nich powiedzieć?

– Bielecki to jegomość lat blisko sześćdziesięciu, stary kawaler, bez bliższej rodziny. Z usposobienia to przede wszystkim nudny pedant i to do przesady. Ale właśnie tacy ludzie nadają się na kasjerów. Swoją funkcję pełni już blisko dwadzieścia lat. Był na tym stanowisku, kiedy przyszedłem tu przed ośmiu laty i nie zdarzyło się, by kontrole wykazywały jakieś nieścisłości...

– A ten drugi? Urbaniak?

– Również godny zaufania. Rozpoczął pracę już za mojej kadencji, jakieś pięć lat temu. Ma około czterdziestki, może nieco więcej, również nieżonaty. Znacznie inteligentniejszy od Bieleckiego, bardziej operatywny, więc dobrze się uzupełniają.

– Fakt przesunięcia wypłaty siłą rzeczy był znany wszystkim?

– Oczywiście.

– Nie wie pan, do kogo udał się Urbaniak ze swoim zębem? Macie tu zakładowego dentystę?

– Tak. Jest nim kobieta. Doktor Terla.

– Zatem to ona udzieliła mu pomocy?

– Nie wiem, ale to da się łatwo sprawdzić... – dyrektor wstał z fotela i sięgnął po słuchawkę.

– To później, dyrektorze – wstrzymał go Wydma – załatwię to sam.

Łempicki cofnął rękę, jak gdyby słuchawka go parzyła.

Wrócił na swoje miejsce i otworzył pudełko z papierosami, podsuwając je swemu gościowi. Potem podał zapalniczkę, a Wydma wznowił rozmowę.

- Ilu macie strażników i gdzie pełnią służbę?
- Poza komendantem straży – piętnastu. Pełnią służbę na trzy zmiany. Trzech na terenie zakładów, jeden przy bramie i jeden w hallu biurowca.
- A ten zamordowany?
- Jest to jeden ze strażników terenu, który na tę noc został skierowany do ochrony kasy.
- Jak się nazywa ten drugi, znaleziony w komórce?
- Antoni Herman.
- Co pan może o nim powiedzieć?
- Tak dalece nie znam szeregowych pracowników. Jeśli pan sobie życzy, polecę personalnej, by przyniosła jego teczkę.
- Sam wybiorę się do niej po rozmowie z panem. Zechce pan, dyrektorze, zapowiedzieć moją wizytę...

– Ależ oczywiście! Wszystkie akta naszych pracowników są do pana dyspozycji. Ta cała sprawa, pomijając już stronę materialną, jest przykra ze względów prestiżowych, toteż moim najgłębszym pragnieniem jest, by udało się panu jak najprędzej wykryć sprawców, odzyskać pieniądze, no i by móc jak najszybciej przestać o tym mówić... – Łempicki uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Tyle na razie, obywatelu dyrektorze... – major wstał z fotela. – Porozmawiam jeszcze z głównym księgowym, a potem udam się do kadr.

Dział księgowości zajmował cały parter lewego skrzydła gmachu. Kasa znajdowała się tam również, toteż przechodząc korytarzem major mógł stwierdzić, że wstępne prace dochodzeniowe trwają w całej pełni. Zwłoki strażnika zostały już zabrane, pozostał po nich jedynie biały kontur obrysu na podłodze.

Po wymianie paru słów z Gersonem Wydma odnalazł drzwi z napisem „Główny Księgowy – Mikołaj Wusak”.

Na widok wchodzącego zza biurka uniósł się chudy mężczyzna. Po prezentacji wskazał gościowi krzesło i sam rozpoczął rozmowę.

- Interesuje pana zapewne wysokość straty poniesionej przez nasze zakłady?
- To już wiem. Ale poza tym interesuje mnie wiele innych rzeczy.
- A więc słucham pana – Wusak splótł ręce przed sobą, przechylając się do przodu.
- Prosiłbym o nieco informacji o Bieleckim i Urbaniaku.

Główny księgowy ściągnął usta i jakiś czas zastanawiał się nad odpowiedzią. Wreszcie odezwał się:

- Mogę wydawać opinię tylko o ich pracy i zachowaniu w miejscu pracy. A w tym zakresie należy stwierdzić, że obaj wywiązują się dobrze ze swoich obowiązków. Zwłaszcza Bielecki jest wzorem dokładnego pracownika.
- Stąd mogę wnosić, że Urbaniak wzorem nie jest?
- Tego nie chciałem powiedzieć. Urbaniak może nie jest, tak jak Bielecki, drobiazgowo dokładny, ale za to, hm... bardziej wydajny.
- Kto ma dostęp do pokoju z kasą?
- W zasadzie nie wolno tam wchodzić nikomu, o ile nie istnieją powody służbowe.
- A w rzeczywistości?
- Bielecki na ogół przestrzega tego przepisu. Muszę przyznać, że zdarza się jednak, że niektórym pracownikom nie broni wstępu...
- Któż są ci uprzywilejowani?
- To przede wszystkim panna Elmer, sekretarka dyrekcji, w której zdaje się Bielecki nieco się podkochuje, no i Stecki, kierownik naszej bazy transportowej. Ten znów, tak jak i Bielecki, jest filatelistą, mają więc wspólne upodobania.

- Kto przechowuje klucze od kasy?
- Oczywiście Bielecki.
- Czy zdarzyło się, że klucze w ręku miał ktoś inny?
- Tak. Ostatnio, kilka tygodni temu, Bielecki zachorował i musieliśmy posłać po niego Urbaniaka.

Major skwitował tę informację lekkim skinieniem głowy, po czym wstał, by pożegnać swego rozmówcę.

Następną godzinę spędził w dziale kadr, przeglądając stertę akt personalnych. Z niektórych robił krótkie notatki, a kiedy odłożył ostatnią teczkę, przez chwilę siedział zamyślony. Wreszcie ruszył, by odszukać Gersona.

Specjaliści ukończyli już pracę i odjechali wraz z milicyjnym lekarzem. Porucznik zatrzymał przy sobie tylko sierżanta Burego i jednego z milicjantów. Siedzieli w pokoju kasowym prowadząc zdawkową pogawędkę.

- No, Stefan, jakie wyniki?

Porucznik zsunął się z biurka, na którym przysiadł.

– Odciski zostały zdjęte, ale wątpię, by były tam inne niż osób uprawnionych. Krata tutaj nienaruszona, natomiast stwierdziliśmy, że jedno z okien na pierwszym piętrze – w damskiej toalecie – było zamknięte, ale nie na klamkę. Naprzeciw tego okna jest ściana magazynu, na której wisi sprzęt przeciwpożarowy, a między nim piękne, czerwone drabiny.

- Hm... A kasa?

– Drzwi nie mają żadnych uszkodzeń.

– Gdzie Bielecki chowa klucze?

– Oświadczył, że nosi je stale przy sobie, na skórzanym rzemyku. Stąd wniosek...

– Z wnioskami poczekaj. Co stwierdził nasz lekarz? O której nastąpił zgon?

– Około drugiej...

– Sprawdź mi możliwie szybko, czy zastępca kasjera o nazwisku Urbaniak był u miejscowej dentystki i co stwierdziła. Poza tym niech ci administracja dostarczy plan tego budynku.

– Rozkaz, szefie! – Gerson z akcentowaną przesadą wyprężył szczupłą postać, ale jego piegowata twarz nie zdradzała niczego, poza służbistą powagą.

– Czy doktor zbadał tego strażnika, jak mu tam, Hermana?

– Silne zatrucie chloroformem. Został umieszczony w gabinecie lekarskim, gdzie zdaje się już nieco przyszedł do siebie.

– Zanim ze zwykłym entuzjazmem zabierzesz się do wykonywania moich poleceń, zwołaj tu następujące towarzystwo – Wydma wymienił nazwiska. – Hermana wezmę na deser, niech zostanie, gdzie jest. Bury – zwrócił się do sierżanta – będziecie protokołować.

Pierwszy do pokoju wszedł Stecki. Po ustaleniu personaliów, Wydma zwrócił się do siedzącego po drugiej stronie stołu, otyłego mężczyzny:

– Zna pan nazwisko zabitego strażnika?

– Pewnie, że znam. Nazywa się Załuski. Przecież teraz o niczym innym ludzie nie mówią... – Stecki wzruszył ramionami.

– A co o tym mówią?

– Każdy ma swoje rozwiązanie, same Szerłoki!

– Jakież to są w większości te rozwiązania?

– Sądzą, że ktoś z zakładów musiał maczać w tym palce.

– O, właśnie! A jakie jest pana zdanie?

Stecki spojrział na Wydme spod oka.

– Ja się znam na samochodach, panie majorze, a nie na włamaniach. Nie chcę kłapać dziobem kiedy nie wiem, co i jak...

– Bieleckiego zna pan dobrze?

– Starego każdy zna, bo wypłaca forszę.  
 – Czy nie utrzymywał pan z nim innych kontaktów?  
 Stecki obrzucił majora szybkim spojrzeniem, opuszczając zaraz powieki, by z uwagą przyglądać się swoim butom. Wreszcie odpowiedział z ociąganiem:

– Parę razy byłem u niego w domu...  
 – Przyjaźniliście się?  
 – Obaj zbieramy znaczki pocztowe. Zachodziłem, by dokonać wymiany.  
 – Czy robiliście to i na terenie zakładów?  
 – Czasami zdarzało się, ale nie za często.  
 – Pan jest kierownikiem bazy transportowej?  
 – Tak jest.  
 – Musi pan zatem znać się na mechanice?  
 – No pewnie! – Stecki uśmiechnął się.  
 – Niech mi pan więc powie, jako fachowiec, czy łatwo było dorobić takie klucze, jakich używał Bielecki do otwierania kasy?  
 Uśmiech na twarzy Steckiego zniknął.  
 – Nie przyglądałem się im – odpowiedział z zakłopotaniem – ale każde klucze można dorobić, jak się ma wzór...  
 – Myśli pan o odbitce?  
 – O odbitce też...  
 – Chwilowo na tym skończymy. Niech pan podpisze protokół i zechce poprosić pannę Elmer.

Dziewczyna była wysoka i zgrabna. Ondulowana główka połyskiwała falami kasztanowatych włosów, a duże, nieco podmalowane oczy zdradzały spryt. Po wstępnych pytaniach Wydma poczęstował pannę Elmer papierosem, a kiedy nachyliła się nad zapalniczką zagaik:

– Znała pani tego zabitego strażnika?  
 – Nie. Strażnicy nie mieli powodów do odwiedzania sekretariatu.  
 – Nie wygląda pani na zbyt przejętą tą sprawą. Czyżby morderstwo nie zrobiło na pani wrażenia?  
 – Jak to, nie zrobiło?! Kiedy dowiedziałam się o tym, myślałam, że zemdleję! Teraz już się nieco opanowałam.  
 – Czy nie przyszło pani na myśl, że być może współnik tego przestępstwa znajduje się na terenie zakładów?  
 – Tak pan sądzi...? – czarne łuki brwi dziewczyny uniosły się do góry.  
 – Czy pani nie przypomina sobie jakiegoś, nawet drobnego zdarzenia, które by potwierdzało takie przypuszczenie?  
 Panna Elmer zastanawiała się przez chwilę, wreszcie potrząsnęła głową.  
 – Nie, niczego takiego nie przypominam sobie.  
 – A co pani sądzi o panu Urbaniaku?  
 Dziewczyna zgasiła papierosa, zanim odpowiedziała.  
 – Podobno ma powodzenie u kobiet. Zresztą nie dziwię się, bo istotnie trzeba przyznać, że jest interesujący.  
 – Tylko tyle może mi pani o nim powiedzieć? – w głosie majora zabrzmiała ironia. – No, a Bielecki? Podobno darzy panią sympatią?  
 – Stary nudziarz! – machnęła lekceważąco ręką, podzwaniając srebrnymi bransoletkami.  
 – Czy zdarzyło się, by w pani obecności Bielecki otwierał kasę?  
 – Czemu pan pyta? Och, przepraszam... – zastanawiała się chwilę. – Chyba tak...  
 Chociaż dokładnie sobie nie przypominam.

- Skąd brał klucze?
- Nigdy nie zwracałam na to uwagi.

Po wyjściu dziewczyny zjawił się wezwany z kolei Jan Urbaniak. Mimo wyraźnie przekrojonej czterdziestki zachował szczupłą sylwetkę, a siwe skronie przy regularnych rysach twarzy istotnie czyniły go interesującym, potwierdzając opinię panny Elmer.

Po kilku wstępnych pytaniach major poruszył interesujący go temat.

– Czy siedząc w jednym pokoju z Bieleckim nie zauważył pan, by ktoś interesował się jego kluczami od kasy?

– Nie, niczego takiego nie zauważyłem – padła zdecydowana odpowiedź.

– Czy nie zdarzyło się Bieleckiemu zapomnieć swoich kluczy?

– Bieleckiemu? To pan major go nie zna! Zresztą nosi je przy sobie, przytwierdzone do spodni.

– Chcąc jednak otworzyć kasę musi je chyba odpiąć?

– Tak, istotnie. Potem kładł je na biurku.

– Stecki i panna Elmer czasem odwiedzali Bieleckiego. Czy nie brali do rąk kluczy?

– Nie... Chyba nie... – Urbaniak raptem zawahał się.

Do pokoju wszedł porucznik Gerson i bez słowa usiadł obok sierżanta. Urbaniak odprowadził go wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na Wydnię.

– A więc jednak? Stecki czy Elmer?

– Panna Elmer. To było parę tygodni temu. Przyszła do nas w jakiejś sprawie i w czasie rozmowy nieostrożnym ruchem straciła klucze na podłogę. Schyliła się wprawdzie zaraz i podniosła je, ale potem przekomarzała się chwilę z Bieleckim, trzymając je za sobą i żądając, by zgadł, w której ręce je trzyma, bo inaczej ich nie odda.

– No, to wygląda dość niewinnie... Przyzna pan chyba.

Urbaniak spojrział na majora z porozumiewawczym uśmiechem.

– Ale odniosłem wrażenie, że ona te klucze zrzuciła umyślnie.

Jako ostatni wszedł do pokoju stary kasjer. Chudy, nieco przygarbiony, o zapadniętych policzkach i dużej grdyce, wystającej ponad zbyt luźnym kołnierzykiem, ukłonił się już od progu i ostrożnie usiadł na wskazanym mu krześle. Wydma obrzucił go szybkim spojrzeniem, ale niczego poza przygnębieniem nie zdołał z jego twarzy wyczytać.

– No i co, panie Bielecki, zabrali panu kupę forsy?

Stary kasjer skinął głową i westchnął.

– A sporo... Dokładnie dwa miliony, osiemset trzy tysiące dwieście...

– Znam wysokość zrabowanej sumy – przerwał mu Wydma. – Chciałbym teraz usłyszeć od pana, jakie to były banknoty?

– Jak do wypłaty – od tysięcy do dwudziestek i bilon.

– To i bilon zabrali? – zdziwił się Wydma. – Ile tego było?

– Sześć tysięcy. Tyle, ile zamówiłem w banku.

– Musiał sporo ważyć?

– Parę kilo, nie tak wiele, żeby się nie opłaciło.

– Godna podziwu skrupulatność, panie Bielecki – nie uważa pan?

– Właśnie... Przy takiej sumie nie zrezygnowali nawet z tych sześciu tysięcy.

– Jak się panu pracuje z Urbaniakiem?

– Nie mogę narzekać. Pomaga mi w wypłatach, bo sam nie dałbym rady. Ale i stąd ta kradzież... Toteż poczuwam się do winy, panie majorze... Uparłem się, żeby odłożyć wypłatę, bo bałem się, że nie podołam, a inny pracownik niż Urbaniak narobi bałaganu. Z pieniędzmi nie ma żartów... A oni jakby tylko na to czekali!

– Tak, tu właśnie tkwi sedno sprawy. No, a co pan powie o Steckim? Podobno przyjaźnicie się?

– Teraz już nie! – w głosie starego zadrgało oburzenie.



- Skąd ta zmiana? Przecież bywał u pana w domu?
- No właśnie! I złapałem go, jak grzebał mi po kieszeniach!
- Jak to się stało? Proszę o szczegóły.
- W domu ubranie wieszam zawsze na poręczu krzesła i wkładam szlafrok. Przyszedł do mnie wieczorem z propozycją wymiany, a że interesował mnie materiał, który przyniósł, wyszedłem po swoje dublety. Kiedy wróciłem, od razu zauważyłem, że marynarka była ruszana, a klucze, które noszę przypięte do spodni wysunęły się i zwisały na rzemyku.
- Jak pan sądzi, czego mógł szukać?
- Jak to czego?! Oczywiście znaczków! Myślał, nicpoń jeden, że noszę je przy sobie.
- Jak pan zareagował?
- Teraz żałuję, że nie wyrzuciłem go za drzwi. Wtedy zrobiłem tylko jakąś uwagę, no i posprzeczaaliśmy się.
- A co mówił na to Stecki?
- Twierdził, że chciał zapalić lampę stojącą na biurku i przy tej okazji potracił krzesło. Jakby przy lampie sufitowej nie było dość jasno. Głupie tłumaczenie.
- A nie przyszło panu na myśl, że Stecki mówił prawdę? Nie znam się na znaczkach, ale jest możliwe, że według jego oceny wymiana wymagała lepszego oświetlenia. Skoro, jak słyszałem, znacie się ze Steckim już dość dawno, musiał wiedzieć, że nie nosi pan znaczków przy sobie?
- Bielecki jakiś czas spoglądał na Wydnę bez słowa, wreszcie rzucił z rozterką.
- Tak pan sądzi...? Sądzi pan, że to możliwe? A ja byłem pewny, że chciał mnie okraść!
- Tak często ze zbieraczami bywa, panie Bielecki. Są przekonani, że wszyscy czyhają tylko na ich umiłowane dobro. No, na razie na tym koniec, dziękuję panu.
- Kiedy zostali sami, Wydma odsunął krzesło od stołu i obrócił się do porucznika Gersona.
- No, geniuszu kryminalistyki, co mi powiesz?
- O Bieleckim?
- Nie. O tym, co zdiagnozowałem.
- Odciski w opracowaniu, plan gmachu mam przy sobie. Urbaniak był wczoraj u dentystki krótko po dziesiątej. Stwierdziła zapalenie okostnej, a ponieważ opuchlizna była nieznaczna, dokonała ekstrakcji, czyli mówiąc po prostu wyrwała mu ząb.
- Na czym oparła swoją diagnozę?
- Nie zapytałem jej o to, ale wiem jak to jest. Stuka się po zębach, a jak pacjent podskoczy, jest diagnoza.
- Robi się i prześwietlenia.
- Ale nie wtedy, kiedy pacjent jęczy z bólu.
- Jęczenie z bólu to najłatwiejsza symulacja.
- Nie miała tych podejrzeń, które my mamy. Skąd mogła przewidzieć, że to będzie tak ważne?
- No, mniejsza z tym, bo to już musztarda po obiedzie. Powiedz mi raczej, jakie widzisz w tej sprawie zasadnicze aspekty?
- Przede wszystkim rozeznanie włamywaczy, że pieniądze pozostały w kasie. Dowód, że mają tu swoją wtyczkę.
- Czy koniecznie? Przesunięcie wypłaty było przecież ogłoszone całej załodze – Wydma spojrzął spod oka na porucznika.
- To argument pozorny. Taka impreza jak włamanie wymaga organizacji i przygotowań. Wiadomość otrzymana nagle, bo przesunięcie wypłaty nie było z góry wiadome, musiałyby zastać ekipę gotową do natychmiastowej akcji.
- I mogło tak być. Czekali tylko na okazję.

– A gdyby się nie zdarzyła?  
– O to właśnie chodzi! Albo czekali, albo sami ją stworzyli. I tu możesz mieć potwierdzenie swej tezy co do wtyczki. Okazję bowiem stworzył Urbaniak, choć nie mogę jeszcze stwierdzić, że umyślnie. Dlatego należy jemu pierwszemu poświęcić uwagę. Zajmiesz się tym natychmiast tak, abyśmy pierwsze rozeznanie środowiskowe mieli jutro na południe.  
– Czyżby ten człowiek dla dobrej sprawy poświęcił swój ząb? – rzucił ironicznie porucznik.  
– Drugim aspektem – ciągnął Wydma – są klucze. Kasa nie była forsowana, więc je podrobili. Dostęp do kluczy miał przede wszystkim Urbaniak, ale miała je w ręku także Elmerówna i zapewne Stecki. Trzecim zaś, to dręczące mnie pytanie: jak to się stało, że ten zabity dał się tak podejść, że dosięgli go nożem? Czy byłoby to możliwe, gdyby nie znał mordercy?  
– Wydaje się oczywiste, że musiał go znać... – zgodził się Gerson.  
– Cieszę się, że to dostrzegasz... – Wydma nie starał się pozbawiać głosu tonu zgryźliwości.  
– Sarkazm jako forma presji na podwładnego? – mruknął porucznik. – No, trudno. Co dalej?  
– Przejrzyj protokół z przesłuchania Elmerówny. Może będzie tam odpowiedź na pytanie dotyczące kluczy. Jest to druga osoba po Urbaniaku, na którą pada cień. Trzecią jest Stecki. Teraz rzucaj do boju swoich rycerzy, a sam ściągnij do komendy nocnych strażników, może coś wniosą do sprawy.  
– Zrobi się... – Gerson podrapał się po nosie.  
– Następnie to nie zamknięte okno... Czy stwierdzono na parapecie i podłodze jakies ślady?  
– Na parapecie zadrapania, być może od gwoźdźcia buta i nieco żwiru. Natomiast podłogę sprzątaczką już zdążyła ładnie wytrzeć.  
– Pokażesz mi to okno, a potem pójdę do Hermana. I jak mówiłem – pierwszy serwis jutro na dwunastą.

Za oknem widać było niski, długi budynek z białej cegły z szeregiem podłużnych okien pod dachem krytym papą. Na hakach wisały drabiny, pomalowane na czerwony kolor, zrudziały już od kurzu i deszczów. Obok stały beczki na wodę i skrzynie z piaskiem.

Wydma otworzył okno i obejrzał blachę zewnętrznego parapetu. Widniała na nim półkolisty rysa, ostra na początku, potem zanikająca. Przyglądał się jej uważnie, po czym przeniósł wzrok na drabiny i drogę z ubitego żużlu, rozdzielającą magazyny od biurowca.

– Żwir z parapetu zebraliśmy – wyjaśnił porucznik. – Na oko widać, że pochodzi z tej drogi.

– Drabinę odłożyli na miejsce, nie śpieszyło się im...  
– Pozostawiona, mogła spowodować przedwczesny alarm. Klamkę okna wytarli również do czysta.

– Ale żwir z parapetu zapomnieli usunąć! A i okno pozostało nie zamknięte.  
– Jak mogli je zamknąć, skoro wyszli tą samą drogą?  
– Zapominasz o hallu. Ta droga była już wolna.  
– Zacierali ślady, ale niezbyt dokładnie. Wygląda, że nie wszystko było przemyślane do końca.

– Albo przemyślane aż za dokładnie. Dobrze przyciśnij nocnych dozorców, może coś zauważą, jeśli nie spali gdzieś po kątach.

Kiedy znaleźli się na dole, Wydma podszedł do drabin i obejrzał ich końce.

– Popatrz – zwrócił się do stojącego za nim porucznika – nie widać, by pozostały na nich ślady żużlu. Nie wygląda na to, by były używane.

– Zagłębienia zostały zbadane i zmierzone przez naszych ludzi. Rozstaw się zgodza. Żużel mógł osypać się po wyschnięciu.

– I to możliwe. No, chodźmy...

Po rozstaniu z porucznikiem major udał się do ambulatorium. Znalazł tam Hermana, leżącego na kozetce i nakrytego kocem. Chudą twarz o zapadniętych policzkach znaczyły liczne zmarszczki. Szablisty, opuszczony ku dołowi nos nadawał twarzy melancholijny wyraz, a oczy, które obrócił na wchodzącego, były niemal bezbarwne i pozbawione wyrazu. Na czole lśniły krople potu, który zlepił w pasma kosmyki rzadkich, płowosiwych włosów, ledwie przykrywających czaszkę.

– Widzę, że już pan przychodzi do siebie – Wydma zbliżył się do kozetki. – Zatrucie musiało być ostre, więc teraz nie będę długo pana męczył. Proszę powiedzieć krótko, jak się to stało?

– Sam nie wiem... – Herman z trudnością wymawiał słowa. – Nocą dyżurowałem za szklanym przepierzeniem, gdzie za dnia siedzi informator. Wstałem, by nieco rozprostować nogi, potem udałem się do pokoju kasowego... Chciałem sprawdzić, czy kolega nieco nie przysnął... Ale czuwał, tośmy chwilę pogadali, a potem wróciłem do siebie. Kiedy wchodziłem za przepierzenie – wejście jest w pobliżu drzwi do tego korytarzyka, gdzie mnie znaleźli – ktoś z tyłu otoczył mi szyję ramieniem i coś mokrego opadło mi na twarz. Chciałem krzyknąć, by ostrzec tego drugiego, ale poczerniało mi w oczach i straciłem przytomność. Rano znaleziono mnie związanego jak barana i teraz wciąż mi się chce rzygać, z przeproszeniem pana komisarza...

– Czy światło w hallu było zapalone?

– Tylko lampa na stole, za przepierzeniem.

– Mielicie szczęście, że od razu straciliście przytomność. Waszego towarzysza zabili.

– Już o tym słyszałem. Widocznie zobaczył któregoś z nich i dlatego go sprzątnęli...

– A więc sądzi pan, że mógł znać napastników?

– To nie, ale tacy boją się pokazywać twarz, by potem w razie czego nie być rozpoznany...

Po rozmowie ze strażnikiem Wydma obejrzał dokładnie hall wejściowy i korytarzyk, prowadzący do tylnego wyjścia, gdzie znajdowała się komórka. Potem wyszedł na podjazd i krytym pasażem, ciągnącym się aż do domku wartownika przy bramie wjazdowej, ruszył do swego samochodu. Czekало go jeszcze sporo roboty.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI